

Od autora: Z inspiracji prawdziwymi zdarzeniami.

Jednego obsypię złotem, drugiemu przetrączę nogi. Na kogo wypadnie, na tego będę!

Sally Powers i Catherine Ford były przyjaciółkami od przeszło czterdziestu lat.

Czas przyprószył im włosy siwizną, dodał zmarszczek, zmienił smukłe sylwetki w lekko przysadziste, a i tak zachwycały otoczenie wytwornością, namiastkami dawnej urody i ujmującym obejściem. Ale nie tylko: skupiona wokół działalności dobroczynnej społeczność St. Louis uwielbiała nierozłączne siedemdziesięciolatki za ich dobre serce i niesłabnącą, mimo podeszłego wieku, gotowość do niesienia pomocy bezdomnym. Hojność ich była ogromna – staruszki mniej więcej pięć lat wcześniej zdecydowały się zamieszkać razem, zaś dom Cath, jako zdecydowanie przestronniejszy, przekształciły w miły pensjonacik dla kilkorga starszych, samotnych rezydentów, którym zapewniały nie tylko dach nad głową oraz wyżywienie, ale i prawdziwie domowe ognisko. Jakby tego było mało, panie prowadziły również jadłodajnię, gdzie osobiście gotowały posiłki dla ludzi w potrzebie. Nazwały ją Boże Dary.

Obie panie były wdowami, którym mężowie – doskonale prosperujący lekarz ginekolog i wzięty prawnik – pozostawili środki aż nazbyt wystarczające do uwolnienia od trosk codziennych i to po kres ich dni, bez konieczności zmiany poziomu, do jakiego przywykły. Ale nawet gdyby podniosły go dwukrotnie, po śmierci każda pozostawiłaby niemałą sumkę radującą spadkobiercę. Problem w tym, że ani Sally, ani Cath takiego nie miały. Wszyscy, którzy znali leciwe damy byli zgodni – bezdzietność zbliżyła je do siebie, by każda, w obecności drugiej znalazła kojącą ulgę w dzieleniu życiowego dramatu z inną kobietą, zaś w ich dobroczynnej działalności psychologizująca część społeczności upatrywała rekompensaty niespełnionego macierzyństwa.

Większość zazwyczaj się nie myli, ale tym razem było inaczej. Sally i Cath nigdy nie odczuwały choćby najmniejszej chęci matkowania wiecznie rozwrzeszczanym bachorom ani tym bardziej wycierania tyłków czy zasmarkanych nosów, miały za to dość rozumu, by schować tę tajemnicę przed światem. Z biegiem czasu odkryły, że mają znacznie więcej cech wspólnych, aż w końcu porozumiały się w pragnieniach do tego stopnia, że wywiązał się między nimi siostrzany związek.

Nie jest dobrze. Ale gdyby miało być lepiej, to by było

David Winston stał w progu jadłodajni Boże Dary.

Miał chwilowo złą passę. Jego ostatnia partnerka, Kate okazała się zwykłą suką, nie dlatego, że latała za mężczyznami – przeciwnie, była uosobieniem cnotliwości, którą w rzeczywistości pogardzał. Niemniej, zasłużyła na miano suki, bo choć urabiał ją na wszystkie sposoby, nie zgodziła się na sprzedaż własnego domu, czym wpędziła Davida w nieliczne kłopoty. Po pierwsze, przeszedł mu koło nosa niezły interes w

nieruchomościach, po drugiej, idiotka poskarżyła się rodzicom, na co ojciec, krzepki sześćdziesięcioletek zareagował jak rozwścieczony pitbull i wyniósł niedoszonego zięcia na kopach z domu córki. Wcale nie w przenośni. Owszem, David nie pozostał dłużny – trzepnął starego parę razy, jednak Kate zdążyła w międzyczasie powiadomić policję i z satysfakcją obserwowała, jak młode byczki zakładają mu kajdanki, a potem, wsadzając do radiowozu, niemal pieszczotliwym gestem ochraniając głowę przed uderzeniem o ramę dachową.

Sędzia, przed którym postawiono krewkiego narzeczonego, okazał się nie tylko dociekliwy, ale też poświęcił cenny czas na przejrzenie długiej historii notowań podsądnego. Najpierw zawrzał gniewem, a potem wydał wyrok: sześć miesięcy pozbawienia wolności. Tylko sześć, bo Davidowi udało się odegrać zgrabne przedstawienie, które zdołało przekonać sąd, że bardzo żałuje tego porywczego postępu. Obiecał też w przyszłości trzymać nerwy na wodzy, po czym z satysfakcją odnotował fakt, że sędzia skazał również ojca Kate, choć za ledwie na niewielką grzywnę.

W czasie odbywania wyroku sprawował się znakomicie, będąc najbardziej zdyscyplinowanym więźniem w historii więziennictwa federalnego, a dzięki zaskarbianiu sobie sympatii klawiszy oraz dyrektora placówki, zupełnie znośnie przetrwał karę.

Teraz jednak nie miał dokąd pójść, przynajmniej do czasu, zanim sobie czegoś nie zorganizuje. Był pewien, że nie potrwa to długo – w końcu świat roi się od kobiet otwierających portfele przed urokiem szarmanckich mężczyzn i facetów, którym brakuje rozsądku, by nie topić uciulanych dolarów w interesach o wątpliwym efekcie.

Mroczny umysł Davida widział w otoczeniu jedynie źródło zaspokojenia własnych, nieustannie rosnących potrzeb, a uczucia osób, które los postawił na jego drodze, traktował mniej więcej z takim szacunkiem, jak inni respektują prawo karalucha do pożywienia się okruszkami kanapki. Jedyne dyskomfort tej relacji polega na konieczności pogodzenia się z irytującym chrzęstem chitynowego pancerza i cichutkim plaśnięciem pękającego ciała.

Po to właśnie David przyjechał do St. Louis: rozgnieść jakiegoś robaka, a jeśli się uda, nawet kilka.

Plany poszukiwania żywiciela, do którego mógłby przylgnąć niczym tasiemiec do ludzkiego jelita, miał jeszcze niesprecyzowane. Na razie był po prostu głodny, więc zamierzał skorzystać z rady obdartusa, z którym spędził noc na ławce w parku. Facet o wyglądzie troglodyty zapewniał go, że w Bożych Darach urocze, zwariowane na punkcie dobroczynności staruszki, nakarmią go do syta. Postanowił tam pójść i przy okazji zaspokoić domagający się jedzenia żołądek. Przy okazji, bo staruszki, staruszkami, ale to nie biedacy udzielają się charytatywnie, a każdą okazję warto sprawdzić.

Teraz przyglądał się dwóm eleganckim kobietom, energicznie mieszającym w błyszczących kotłach, których zawartością obdzielały kolejkę ludzkich śmieci, cierpliwie czekających na łyk gorącej strawy.

Strzeż się! Wyrafinowany zamysł niewiele różni się od przypadku

Cath wrzuciła chochlę do kotła i rozprostowała palce, jednocześnie odprowadzając wzrokiem, kobietę w zniszczonym płaszczu, której przed chwilą sownie napełniła talerz zupą.

– Ręka mi zeszytywniała! – jęknęła. – Długo jeszcze będziemy musiały mieszać w tych garach? Przecież to zawsze robią wolontariusze!

– Nie narzekaj, moja droga! – odpowiedziała Sally. Będziemy to robić do czasu, aż znajdziemy ostatniego pensjonariusza do kompletu. Wiesz, że odszedł od nas drogi pan Wilson... Dwa lata, które spędził z nami, minęły tak szybko! Był taki cudowny...

– Tak, biedny pan Wilson, jest już w objęciach Boga, za to my stoimy tu dzień w dzień od tygodnia i nic! Może ten w zielonej kurtce? Jak on ma na imię... chyba John.

– Nie, kochana, rozmawiałam z nim. Zupełnie nie pasuje! Śmierdzi mu z ust jak z pyska wielbłąda i nie mył się chyba od dzieciństwa. Poświęcenie, poświęceniem, ale nie za wszelką cenę!

– A tamta kobieta?

– Amy? Też nie!

– Nie do wiary. – Cath pokręciła głową. – Tylu ludzi i nikogo nie możemy znaleźć!

– Mamy tylko jedno miejsce w pensjonacie. Zdobądź się na odrobinę cierpliwości! Przecież doskonale wiesz, że musi to być odpowiednia osoba, nie chciałybyśmy przecież przyjąć pod swój dach kogoś, kto sprawiałby kłopoty, prawda?

Cath potakująco kiwnęła głową i po raz kolejny tego dnia omiotła wzrokiem salę pełną ludzi. Już miała głęboko westchnąć z rezygnacją, gdy spostrzegła Davida.

– Sally – szepnęła, szturchając przyjaciółkę w łokieć. – Spójrz dyskretnie na mężczyznę przy drzwiach. Widziałas go kiedyś?

– Tego młodego? Nie.

– Ciekawe... Na pewno zabłądził. Jest zbyt dobrze ubrany jak na bezdomnego. Nieżyły z niego przystojniak!

– Moja droga, nie sądz ludzi, po pozorach. – W głosie Sally zabrzmiała karcąca nuta. Zawsze uważała, że Cath pomimo swojego wieku ma odrobinę pstro w głowie i czuła się w obowiązku traktować przyjaciółkę, niczym młodszą, niesforą siostrę. I choć obiekt jej pouczeń wcale nie należał do istot potulnych, nie powodowało to żadnych spięć między paniami, gdyż Cath zwyczajnie puszczała nauki mimo uszu. – Ubiór – ciągnęła tymczasem Sally – nie świadczy o człowieku, przynajmniej w większości przypadków. Znałam... – urwała nagle. – Patrz, idzie do nas!

David istotnie przemierzał salę energicznymi krokami, zbliżając się do stołu zastawionego tanimi talerzami i pojemnikami z jednorazowymi sztućcami. Nie wziął jednak niczego, ale zwrócił się wprost do kobiet:

– Dzień dobry! Nazywam się David Winston i szukam dwóch starszych pań, które prowadzą tę jadłodajnię.

– Zapewne chodzi o nas – rzuciła Cath.

– Raczej nie. – Dawid posłał jej uroczy uśmiech. – Powiedziano mi, że znajdę tu dwie staruszki, więc...

Cath zachichotała i bezwiednie poprawiła włosy. Przyjaciółka rzuciła jej mordercze spojrzenie.

– Więc dobrze pan trafił. – W głosie Sally zabrzmiała wystudiowana uprzejmość, a na twarz wypłynął chłodny uśmiech. Dawid wzbudził w niej niechęć, choć sama nie rozumiała jej powodu. – Jestem Sally Powers, a to Cath Ford. Co pana do nas sprowadza?

– Obawiam się, że to samo, co innych. Konieczność.

– Naprawdę? – Sally uniosła w górę cienkie brwi. – Myślałam, że ludzie biedni nie noszą zegarków od Cartiera.

– Ach, to... – David dotknął płaskiej tarczy. – Pamiątka po nieudanym małżeństwie, prawdę mówiąc, dlatego tu jestem. Rozwód i... cóż... można powiedzieć, że żona zgarnęła całą pulę.

– Puściła pana z torbami? – zainteresowała się Cath. – No, no...

– Catherine! Jak możesz!

– Nic się nie stało, to już zamknięta sprawa. – David bagatelizująco machnął ręką. – Chociaż przyznaję, że mój prawnik mógł się bardziej postarać. Niestety, w małżeńskim raju przypadła mi rola posłusznego Adama, a żonie, Stwórcy. No, oczywiście nie do końca. Mam środki, które pozwolą mi wieść spokojne życie, tylko, jakby to powiedzieć... chwilowo zamrożone. Na szczęście niebawem będę mógł z nich korzystać, do tego czasu muszę sobie poradzić. Może powinienem sprzedać ten zegarek? – zamyślił się – tak, chyba to zrobię. Znają panie może jakiś niedrogi hotel, w którym mógłbym się zatrzymać?

– Owszem – powiedziała szybko Cath – Ale zanim pan tam pójdzie, proszę coś zjeść. Dziś mamy jarzynową, ręczę za jej smak, bo Sally jest doskonałą kucharką, choć na taką nie wygląda. – Ułożyła usta na kształt zalotnego uśmiechu, a potem sięgnęła po naczynie i nalała zupę. Ruchem głowy wskazała stół pod ścianą. – Tam jest wolne. A my w tymczasem pomyślimy nad kwaterą.

Gdy tylko David odszedł, uśmiech Sally zmienił się w grymas niezadowolenia. Nic nie mówiąc, ujęła Cath za rękę i pociągnęła na zaplecze kuchenne. W otoczeniu garnków rondli oraz patelni dała upust irytacji:

– Co ty wyczyniasz, straciłaś rozum?! Sądziś, że nadal masz dwadzieścia lat? Kokietujesz mężczyznę, który mógłby być twoim synem! Poza tym nie podoba mi się ten człowiek. Chyba nie myślisz...

– Właśnie myślę! – Cath wpadła jej w słowo, a Sally zamilkła, bo po raz pierwszy, odkąd pamiętała, przyjaciółka przerwała jej, zanim zdążyła dokończyć zdanie. – Oto znalazłyśmy osobę na miejsce pana Wilsona, to zrządzenie losu! Jest samotny, bez pieniędzy i nie śmierdzi. Pasuje do naszych podopiecznych. Och, Sally, to będzie takie... takie ożywcze! Proszę, zgódź się!

- Jest przede wszystkim za młody. I wcale nie wygląda mi na samotnego, na pewno ma rodziców albo rodzeństwo.
- To co robi w jadłodajni dla ubogich? Gdyby miał bliskich, na których może liczyć, dawno już opychałby się domowymi obiadami, a nie twoją zupą z kotła.
- Możliwe – Sally zgodziła się z ociąganiem. – Sama nie wiem... Mogą z tego wyniknąć kłopoty.
- Boisz się, że odbierze dziewictwo pani Salsburry?
- Co też ci wpada do głowy, Catherine! – zachnęła się Sally, poprawiając kołnierzyk nieskazitelnie białej bluzki. – Gdyby pani Salsburry chciała komuś oddać swoje dziewictwo, zrobiłaby to pół wieku temu!

Gdyby prawo zaczęło karać występne myśli, świat składałby się wyłącznie z więzień

Pensjonat starszych pań, położony w Webster Park przy Oakwood Avenue prezentował się znakomicie. David z uznaniem patrzył na imponujący, utrzymany w stylu neokolonialnym budynek, oddzielony od ulicy gęstwiną zieleni i kwiatów, przechodzącą w idealnie utrzymany trawnik. Tego domu nie dało się porównać z żadnym, w którym mieszkał. Jego dotychczasowe możliwości nie sięgały wyżej klasy średniej, zatem znane mu domy również nie wyrastały ponad przeciętność, a ten, miał dyskretny, arystokratyczny wdzięk. I – jak ocenił – wart był sumę, która mogła przyprawić o zawrót głowy.

Cath wprowadziła Dawida do przestronnego hallu, a potem szerokimi dębowymi schodami udali się na piętro, gdzie pokazała przydzielony mu pokój oraz niewielką, ale komfortowo wyposażoną łazienkę. Gdy obejrzał pozostałe pomieszczenia, każde urządzone z perfekcyjną dbałością o najdrobniejszy szczegół, i zobaczył salon, dowodzący, że kolejni właściciele domu byli przedstawicielami tego, co St. Louis najlepsze, był już pewien, że jest stworzony do takiego właśnie luksusu, a cała dotychczasowa pogoń za drobnymi okazjami była nieporozumieniem oraz oczywistą stratą czasu.

Czas przestać zadowalać się byle czym i zacząć mierzyć wysoko. – Myślał, stojąc o zmierzchu w otwartym oknie, za którym rozciągał się widok na dyskretnie podświetlony ogród, z cisową alejką. – *Najprościej byłoby ożenić się ze staruchą. Problem, w tym, że na pewno ma kutych na cztery łapy prawników, którzy zaraz zaczną krakać o intercyzach i innych numerach. Trzeba by babsko nieźle urobić...*

Natura Davida nie znosiła czekania, a jakkolwiek żądza, jeśli zatliła się choćby małym płomyczkiem, musiała znaleźć o ile nie natychmiastowe, to przynajmniej jak najszybsze spełnienie. Zaczął więc pracować nad Cath już od następnego ranka.

Po tygodniu był pewien, że sprawy idą po jego myśli. Starsza pani była radośnie kokieteryjna, więc kuł żelazo, póki gorące: prawil komplementy, przynosił kwiaty, pomagał w Bożych Darach i towarzyszył paniom w ich wieczornych wędrowkach po dzielnicach biedy. Poznał romantyczną naturę Cath, oraz dowiedział się, że uwielbia wycieczki rowerowe nad jezioro Horseshoe, zatem jeździli tam często, ona z zach-

wytem, on powodowany nie tyle chęcią sprawienia wybrance przyjemności, ile ograniczeniem jej kontaktów z Sally, która nadal mierzyła go niechętnym wzrokiem. W trakcie tych romantycznych wypraw uchylał przed Cath rąbka swojej duszy, opowiadając niestworzone brednie o niegodziwościach, które go spotkały, i szlachetności, z jaką znosił przeciwności losu. Z zadowoleniem obserwował, że te wyssane z palca opowieści poruszają czułe serce Cath.

Po miesiącu takich zabiegów oświadczył się w salonie domu przy Oakwood Avenue i został przyjęty. Ślub był cichy i skromny, ale nie na tyle, by przeszedł niezauważony. Zdumienie St. Louis było ogromne, a miasto zawrzało od szeptanych po salonach plotek. Sally ani słowem nie skomentowała decyzji Cath, tylko zacisnęła usta, zaś w spojrzeniach kierowanych do Dawida pojawiła się jeszcze większa niechęć.

Jednak jemu to było obojętne, bowiem osiągnąwszy jeden cel, natychmiast znalazł następny. Nie chciał już Cath i jej bogactwa – chciał bogactwa bez Cath. Perspektywa korzystania z góry pieniędzy, zgromadzonych w nieruchomościach i bajońskich sum na lokatach bankowych rozpaliała jego wyobraźnię, podsuwając wizję życia, opartego na niekończących się przyjemnościach, nie tylko tych dozwolonych, ale również zakazanych, których zawsze pragnął. Teraz zdawały się być na wyciągnięcie ręki. David doskonale wiedział, że ciemna strona St. Louis miała wiele do zaoferowania, i pragnął z tej oferty korzystać. Jednak przede wszystkim, niczym afrodyzjak działała nań perspektywa władzy nad słabszymi od siebie, oraz bezkarności dla nawet najpodlejszych czynów, która zawsze jest pochodną pieniądza.

W trzecim miesiącu małżeństwa uznał, że nie będzie dłużej zwlekał.

Czas pozbyć się więzów małżeńskich, pani Winston – przemawiał w myślach do śpiącej małżonki. – I to ty będziesz musiała odejść. Wiem, wiem, nie masz zamiaru, ale ci pomogę. Nie sądzisz chyba, że będę czekać jeszcze parę lat, nim kopniesz w kalendarz. Nieladnie tak kurczowo trzymać się życia. Co powiesz na poduszkę? Jeszcze nie dziś, nie jestem gotowy. Wiesz, kochanie, logistyka i te sprawy... Może za tydzień?

Idę po ciebie, robaczku... Śmierć ma w dupie, kim jesteś

Pewnej nocy granatowa, wysłużona furgonetka ruszyła z Oakwood Avenue, kierując się w stronę Missoury.

Śpiące miasto właśnie zapomniało o problemach minionego dnia, zbierając siły do jutra, być może naznaczonego nowymi troskami, ale przynajmniej wolnego od wczorajszych błędów, za to z miejscem na nowe. Oddechy mieszkańców, spoczywających w łóżkach, samotnie lub we dwoje, podkładających pod głowy poduszki albo tulących twarze wprost do prześcieradeł, łączyły się w jeden, wspólny rytm sennych wdechów i wydechów. Był jednak wyjątek – ciało spoczywające w tylnej części furgonetki, na podłodze, wydało ostatnie tchnienie niespełna pół godziny wcześniej i tym samym na zawsze przestało uczestniczyć w nocnym rytuale. Teraz leżało rzucone byle jak niczym szmaciana lalka, z rozrzuconymi nogami, rozpostartymi szeroko rękoma i głową, wepchniętą pod koło leżącego na nim roweru.

Furgonetka przecięła Eads Bridge, wjechała do East St. Louis, pomknęła Riverpark Drive, skręcając ostro w Collinsville Avenue, a w końcu stanęła z dala od zabudowań, na obrzeżach dzielnicy, niegdyś kwitnącej, dziś pełnej przestępczości oraz biedy. Natychmiast umilkł silnik i zgasły reflektory, wtapiając auto w mroczną ciszę. Chwilę później ciemność rozbrzmiała sapaniem, potem głuchym odgłosem upadającego na ziemię ciężaru, a w końcu cichym szuraniem kół rowerowych po wilgotnej nawierzchni. Zaraz po tym dał się słyszeć głos silnika, auto cofnęło się o dobre sto metrów, ponownie ruszyło z impetem, by za chwilę podskoczyć i zatrzęść się na niewidocznej przeszkodzie, a w końcu odjechać, przy wtórze zgrzytu ciągniętego po nawierzchni metalu.

Jedyny świadek zdarzenia, noc, trwała niewzruszona, pozostawiając rankowi przywilej odsłonięcia widoku zmasakrowanych kołami samochodu zwłok i rozrzuconych wokół fragmentów roweru.

Wyrzuty sumienia dopadają bez ostrzeżenia i w swojej naturze przypominają węża polującego na myszy. Ale bywają beczelne gryzonie, które nigdy nie dają się złapać. Jak się miewa twój wąż? Czy aby niegłodny?

Miesiąc później Sally krzątała się po kuchni w Bożych Darach, nadzorując prace wolontariuszy przy południowym posiłku. Lada moment sala miała zapelnąć się zgłodniałymi gośćmi, więc starsza pani założyła czysty fartuch i wydawszy ostatnie polecenia, poszła sprawdzić, czy stół, na którym za chwilę pojawią się parujące kotły, jest należycie przygotowany. Zawsze robiła to Cath, ale teraz jej nie było. Z trudem odsunęła myśl o przyjaciółce, ale wiedziała, że jeśli tego nie uczyni, zawartość chochli będzie częściej lądować na stole, niż w talerzu.

Przez następną godzinę z przyklejonym do twarzy uśmiechem wydawała porcje, aż w końcu skinęła na wolontariuszkę, by ją zastąpiła. Wtedy zdjęła fartuch i udała się do niewielkiego gabinetu położonego na zapleczu, który kazała urządzić skromnie, lecz gustownie, na wypadek, gdyby musiały odpocząć znużone pracą. Ledwo zdążyła zagotować wodę w eleganckim czajniku, usłyszała odgłos kroków na korytarzu, a chwilę później drzwi się otworzyły i w progu stanęła Cath, odziana w żałobną czerń.

– I jak? – zapytała Sally niecierpliwie.

– Wszystko w porządku. – Cath opadła na fotel i zdjęła czarny toczek z woalką. – Pieniądze z polisy ubezpieczeniowej wpłyną na konto najpóźniej za trzy dni – obwieściła, co jej przyjaciółka przyjęła z pełnym ulgi westchnieniem. – A teraz mam chęć na filiżankę kawy, będziesz taka dobra...?

– Oczywiście, moja droga! Nie masz pojęcia – mówiła Sally z przejęciem, czekając, aż woda w czajniku znów zacznie bulgotać – jak bardzo się denerwowałam. To był naprawdę karkołomny pomysł! Co innego pan Wilson, pan Stanford, czy reszta, oni przynajmniej byli starzy, i nic dziwnego, że mieli kłopoty z sercem. Taksyna zawsze spisuje się niezawodnie i, dzięki Bogu, cisów nam nie brak! Nawet samobójstwo pani Cunnigh, wyglądało prawdopodobnie, wszyscy przecież wiedzieli, że była niespełna rozumu. Ale David? I to niecałe trzy miesiące po ślubie? Mogli stać się zbyt dociekliwi. Nadal się niepokoję.

– Uspokój się, już po wszystkim! – Cath odebrała filiżankę z rąk Sally i postawiła na stoliku. – To był wypadek, coś zupełnie innego niż u pozostałych, mogło zdarzyć się każdemu! Cóż w tym dziwnego, że

Davidowi popsuł się rower i próbował go naprawić? Miał tylko pecha, że stało się to w nieoświetlonym miejscu, a kierowca nie zdążył zahamować. A poza tym – kontynuowała z zadowoleniem – wiem z dobrze poinformowanego źródła, że policja podejrzewa kogoś z East St. Louis. Tam właśnie szukają pojazdu. No i, nasi pensjonariusze też spisali się doskonale – wszyscy potwierdzili, że David uwielbiał wycieczki rowerowe nad rozlewiska Horseshoe Lake.

– Dzięki Bogu! – Sally wyraźnie ulżyło. – Ale nigdy więcej nie pozwolimy sobie na podobny brak rozważań! Dalej będziemy robić tak, jak dotąd, nasz wariant jest przynajmniej bezpieczny. Ostatecznie, dwa lata utrzymywania jakiegoś bezdomnego, zanim będzie można dobrać się do jego polisy, nas nie zrukuje, a to, że biedak upoważnia swoje jedyne opiekunki do odbioru pieniędzy, jest naturalne. Teraz zdaje się nadszedł czas pana Morrisona, prawda? Ale, ale! – przypomniała sobie – powiedz w końcu, co zrobiłaś, że David upoważnił cię do polisy?

– Och, Sally, nie bądź gąską! Sama mówiłaś, że nie mam dwudziestu lat! Świętej pamięci David wierzył, że opuszczę świat na długo przed nim i nigdy nie wykorzystam tych pieniędzy. A poza tym, byłam nie tylko dobrą, ale i hojną żoną: w testamencie zapisałam mu cały majątek, więc miał świetne perspektywy... za jakiś czas, oczywiście, ale wystarczające, by udawać czułego męża. Biedaczek, tak się starał, a ja na dzień przed jego śmiercią cofnęłam dyspozycję. Gdyby David wiedział, dostałaby ataku serca bez naszej pomocy – Cath roześmiała się wesoło. – A tak w ogóle, małżeństwo z nim okazało się wcale dobrą zabawą, dał się prowadzić za rączkę jak mały chłopiec, choć wyglądał na bystrego faceta. Miałam rację, że to będzie ożywcze!

– Raczej odżywcze. – Na twarzy Sally po raz pierwszy pojawił się uśmiech. – Tak przytył na naszym wikcie, że ledwo go udźwignęłyśmy. Do dziś boli mnie kręgosłup.

– A ja mam guza na głowie od uderzenia o dach samochodu! Ale musisz przyznać, moja droga, że w naszym wieku życie bez podniet byłoby zbyt nudne, by zawracać sobie nim głowę, czyż nie?

Sally obrzuciła przyjaciółkę spojrzeniem pełnym uznania. A może nawet dumy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Figiel, dodano 02.02.2018 10:53

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.